

Od autora: Czasem łatwo ulegamy pewnym złudzeniom. Niesiony na skrzydłach dnia pęd rutyny kamufluje rzeczywistość, ale rozsądek zwykle w końcu owo złudzenie rozwiewa - pomyślałem i poczułem potrzebę powiedzenia czegoś więcej na ten temat, czego skutkiem jest to opowiadanie...

Ist(nie)ję

-Cholera-przeklął, kiedy zobaczył bałagan w swoim mieszkaniu. Dobrze zdawał sobie sprawę z tego, że to właśnie on musi go posprzątać. Przecież nikogo innego tam nie było. Prawie nikogo. Spojrzał na mnie wzrokiem pełnym zmęczenia i goryczy, mało brakowało, żeby zwrócił się wprost do mnie, ale zrezygnował i stwierdził, że warto doprowadzić mieszkanie do porządku. Wreszcie zaczął coś mówić, ale nie do mnie kierował swoje słowa, lecz do siebie. –Zdawało mi się, że życie na własną rękę będzie prostsze; że będę samodzielnie podejmował decyzje, że będę miał więcej czasu dla siebie – powiedział i przerwał na chwilę, bo zbyt bardzo zaschło mu w ustach, by był w stanie kontynuować monolog. Gdy szybko, zdecydowanym ruchem przechylił szklanę, zbawienna woda, której wilgoć stanowiła dla niego wtedy największą rozkosz, pozwoliła mu mówić dalej. –Ale przecież każdy popełnia błędy, trzeba tylko umieć się na nich uczyć, wykorzystać je w przyszłości, by podejmować rozsądne, przemyślane decyzje. Gdybym tylko mógł uwolnić się od ...

Nie dokończył, bo zaintrygowało go coś, co zauważył za oknem, ale doskonale wiem, co miał na końcu języka: samotność. Chciał uwolnić się od samotności, którą sam wybrał. Zrobił to świadomie, nikt go przecież nie zmuszał. Zdumiewające jest to, jak niewiele potrzeba, by postąpić tak nierozsądnie. Jeszcze tydzień temu szczęśliwie spędzałby wieczór u boku swojej ukochanej, dla której gotów był zrobić wszystko, a której oczy świeciły dla niego niczym najjaśniejsza z gwiazd i w każdym, nawet najtrudniejszym momencie przywracały mu nadzieję. Zdecydował jednak, że bez niej, więcej by zyskał, a ona jest dla niego jedynie przeszkodą, czy – jak to określił – ograniczeniem. Po prostu zakończył coś, co było dla niego wszystkim, zabił w sobie tę cząstkę, która była – jak coraz mniej rzeczy w tym świecie – prawdziwa. Zabił w sobie miłość. Dlatego spojrział teraz przez okno, by przyjrzeć się parze, która żegna się, by spotkać się znów następnego dnia. Tak bardzo chciał, żeby jutro też się pojawili; fakt, że choć oni są szczęśliwi i żyją tym, co ich łączy podnosił go na duchu i sprawiał, że trwał on w czymś w rodzaju radości, ale niestety krótkotrwałej.

Pora, jak się domyślam, na udzielenie czytelnikowi odpowiedzi na jedno z kluczowych pytań: o kim mowa?. Główny bohater ma na imię Robert, ale na razie nic wam o sobie nie opowie. Dzieje się tak, ponieważ to nie on pełni rolę narratora, na początek przejąłem ją ja. Później zobaczymy. Nasuwać się powinno w tym momencie drugie pytanie: kim jestem ja ? Cóż, tutaj muszę Ciebie, mój drogi czytelniku potrzymać w niepewności, ponieważ, gdybym od razu odpowiedział, kontynuowanie lektury zwyczajnie nie miałoby sensu. Potraktuj więc ten tekst jako zagadkę, zobaczymy kiedy się zorientujesz co ja tu robię. Imię głównego bohatera nie ma znaczenia, jest dobrane przypadkowo i nie wiąże się z nim żadna historia. Nie ma więc większego sensu snucie przypuszczeń na temat tego, jaki imię ma związek z tym, co tu powstaje; otóż: żaden. Żebyś jednak czytelniku nie poczuł się zawiedziony lub znudzony, zakończę to nieco przydługie wtrącenie.

Tuż po zakończeniu porządków Robert zjadł prostą kolację i położył się spać, trwając w nadziei, że weekend przyniesie ze sobą coś lepszego. Rzeczywiście tak się stało.

Kiedy Robert podniósł się z łóżka, usłyszał pukanie. Z lekką niechęcią zdecydował się podejść do drzwi i otworzyć, stał za nimi listonosz. –Proszę tutaj podpisać, list do pana. –Dziękuję- wymamrotał mężczyzna w piżamie, nieudolnie przykrytej marynarką. Musicie przyznać, że w takiej sytuacji niczego dobrego sobą nie zaprezentował. Jednak szybkość, z jaką zbiegał w dół po schodach, by podziękować listonoszowi za doręczenie mu wiadomości o awansie w pracy, posłużyła za wymazanie pierwszego, nieprzyjemnego wrażenia. Tak, Robert jest nieco ekscentryczny, a w każdym razie dosyć bezpośrednio wyraża swoje emocje; za co wiele osób go ceni. Kiedy dowiedział się o awansie wprost promieniał ze szczęścia. Zadzwoił do kilku kolegów, do rodziny, spotkał się nawet ze starym przyjacielem, którego pamięta jeszcze z liceum, ale...czegoś wciąż mu brakowało, przesładowało go to wrażenie, że wróci do domu, zastanie ten sam bałagan, a ów scenariusz powtórzy się setki razy. Tym razem jednak radość, która go wypełniała, ta sama, która pozostała po otrzymaniu dobrej wieści, pozwoliła mu na jakiś czas wyprzeć to, co tak go nęka, z umysłu.

Gdy wrócił do domu, przypomniał sobie rozmowę ze swoim przyjacielem, którą odbył ledwie 3-4 godziny temu. Zastanawiali się nad tym, jak żyć. Temat na pierwszy rzut oka niezwykle filozoficzny, ale z drugiej strony, każdy z nas chociaż raz w życiu postawił sobie podobne pytanie, tak dla siebie. Nie każdy natomiast angażuje się w poszukiwanie odpowiedzi. Może dlatego, że dla każdego jest inna i zazwyczaj trudna do znalezienia. Tak czy siak, z ich dyskusji, a raczej towarzyskiej pogawędki wynikło, że najlepiej koncentrować się na tym, co przynosi nam szczęście i starać się możliwie jak najbardziej przedłużyć chwile uniesienia w tym szczęściu, by pozostało ono w nas i motywowało do życia. Wszystko pięknie, tylko ten przyjaciel ma żonę, a Robert od tygodnia jest sam. Dlatego nietrudno zrozumieć, że Robert tuż po spotkaniu znowu poczuł się nie najlepiej. Powróciły myśli związane z tym, że jest sam, że mimo znajomych, przyjaciół, rodziny, po prostu nie ma komu na co dzień się zwierzyć, co wcale nie ułatwia życia. Zwłaszcza kiedy czyjaś praca polega na dużej odpowiedzialności.

Robert jest lekarzem, chirurgiem. Codziennie wykonuje operacje, mniej lub bardziej skomplikowane, ale w każdej wazą się losy człowieka, czy przetrwa czy nie przetrwa. Można powiedzieć, że to nieco brutalne tak myśleć, ale od pewnego momentu taka praca uczy po prostu oceniania z pełną świadomością i akceptacją rzeczywistości, jak duże dany pacjent ma szanse. Na początku, kiedy po raz pierwszy, czy drugi musiał wytłumaczyć bliskim chorego, że się nie udało, ból ścisnął go za serce. Później jednak się przyzwyczaił. Nie zna czy to, że śmierć czy ludzkie uczucie straty, żałoby nie robiło na nim wrażenia, bo robiło; tyle, że nie wyprowadzało go spod kontroli. Zachowywał spokój i neutralny wyraz twarzy w każdej trudnej sytuacji.

Niedziwne zatem, że Robert po powrocie do domu otrzymał ze szpitala telefon, który poinformował go o zbliżającym się dyżurze. Robertowi przypadał akurat w przyszłą środę. Sytuacja była dla niego doskonale znajoma, wręcz przeciętna, toteż nie pogłębiła jego złego samopoczucia. Wręcz przeciwnie: spowodowała, że poczuł się potrzebny, co niewątpliwie miało dla niego duże znaczenie w tamtej chwili. Gdybym chciał przytoczyć strumień jego myśli, który rozsiewał się wówczas w jego głowie i rozpościerał się we wszystkie strony, musiałbym pisać po kartce wzdłuż, wszerz, na skos i do góry nogami; a nawet poczynienie takich zabiegów nie oddałoby tego, co działo się wówczas w jego umyśle. W ogóle uważam, że zabieranie się za opisywanie myśli prozą jest z góry skazane na porażkę, gdyż natura ludzkiego mózgu jest na tyle skomplikowana, że nie sposób przelać na papier tego, co się w nim dzieje, za pomocą prozy. Można tego dokonać według mnie tylko na dwa sposoby: wyrazić myśl wierszem lub podpiąć delikwenta do elektroencefalogramu i wydrukować wynik badania.

Skoro już otworzyłem się przed Tobą na tyle, drogi czytelniku, żeby wyrazić część swoich poglądów,

opowiem trochę o sobie. Jestem raczej małomówny, nie przepadam za rozmawianiem z innymi, nieszczerze mówiąc mnie to interesuje, wolę samotne rozmyślania na różnorakie tematy, a moim ulubionym jest to, dlaczego Robert tak bardzo chce się ze mną widywać. Nie zapewniam mu przecież szczęścia ani nie jestem dobrą osobą do towarzystwa; a jednak on wciąż upiera się, by się ze mną spotykać i opowiada mi o swoim życiu. Nie mieszkam z nim, ale bardzo często go widzę, pojawia się czasem w jego snach, tak mi przynajmniej powiedział już niejednokrotnie. Mimo faktu, że niezbyt dużo się odzywam, mam całkiem sporo znajomych, ale nie ma potrzeby, bym o nich wspominał; postać Roberta zdecydowanie wystarczy, żeby wytłumaczyć problematykę mojego postępowania, cech charakteru, w ogóle całej mojej postaci.

Dość o mnie, przynajmniej na razie. Wróćmy do sedna sprawy. Robert po odłożeniu słuchawki pomyślał chwilę o tym, jak dobrze jest móc pomagać innym, dostrzegł w tym pewien rodzaj życiowego celu. Wpadł w całkiem dobry nastrój, zrobił sobie kawę, usiadł na fotelu i otworzył książkę. Był to jeden z kryminałów Agaty Christie. Ktoś taki jak Robert musi czasem przeczytać coś, co wywołuje dreszcz emocji oddalony od rzeczywistości znacznie grubszą warstwą ochronną niż jego codzienne życie. Innymi słowy, czytanie kryminałów nie nakręcało go na większy stres, ale rozluźniało po pracy, gdyż w ten sposób potęgował w sobie wrażenie, że istnieją chociaż w świecie książek zdecydowanie bardziej stresujące sytuacje niż te, których on sam doświadcza. Jeśli dobrze pamiętam tego dnia czytał akurat *Morderstwo w Orientekspresie*, ale nie ma to większego znaczenia. Po skończeniu jakże fascynującej lektury (przepraszam czytelniku za sarkazm, ale bywam czasami złośliwy), położył się spać.

Kilka dni później życie Roberta nabrało nieco innych barw. Spotkał pewną osobę. Oprócz tego, jak to wpłynęło na jego życie ciekawa jest historia, która opisuje jak do owego spotkania doszło. Postaram się ją przytoczyć bez fałszowania faktów czy mieszania kluczowych informacji. – Zaczęło się zwyczajnie – tak właśnie Robert zacząłby opowiadanie. Być może oddamy mu na chwile tę przyjemność i uczynimy z niego narratora. Bo w zasadzie dlaczego nie ?

Zaczęło się zwyczajnie: wyszedłem z pracy i wróciłem do domu. Tuż po przekroczeniu drzwi frontowych ogarnęło mnie nieopisane zmęczenie. Zeszłej nocy krótko spałem, bo zastanawiałem się nad jedną z operacji, które ostatnio przeprowadziłem. Przecież gdybym postąpił inaczej...no właśnie: gdybym. Ale nie postąpiłem inaczej i muszę z tym jakoś żyć; tak przynajmniej próbowałem się wczoraj pocieszyć. Trudno jest zdefiniować stan, w którym znajduje się lekarz po dwudziestej z kolei nieudanej operacji, zdecydowanie łatwiej takie zadanie wykonać, kiedy nie uda się komuś po raz pierwszy: szok, smutek, poczucie winy i tak dalej, proste. Natomiast z biegiem czasu sytuacja się komplikuje, uczucia stają się mniej intensywne i zaczynają ustępować czemuś w rodzaju zadumy, refleksji. To nieprawda, że dostałem tak zwanej znieczulicy albo, że stałem się ignorantem w kwestii ludzkiego cierpienia, bólu, nieszczęścia, nic z tych rzeczy. Wciąż coś czuję, ale odbywa się to raczej w środku niż na zewnątrz i przybiera formę zamyślenia. Tak, zamyślenie to zdecydowane dobre określenie, chyba przy nim pozostanę. Ludzie często przyglądają się mojej reakcji i wyglądają jakby nie wiedzieli czy mi współczuć, że nie potrafię się rozplakać, czy może uderzyć mnie z tegoż powodu. Do tej pory żaden z obserwatorów mnie nie zaatakował, więc chyba słuszne będzie skłonienie się w kierunku tej pierwszej opcji: po prostu mi współczują, co w sumie dobrze o nich świadczy, bo coraz mniej ludzi to potrafi. Swoją drogą to zastanawiające, że człowiek, który idąc chodnikiem nie zwróci uwagi na bezdomnego, w szpitalu doznaje olśnienia i budzi się w nim empatia. Rozgadałem się, wróćmy do sedna sprawy: byłem zmęczony i przypomniałem sobie, że tego wieczoru mam spotkanie z kolegami ze studiów. Dawno ich nie widziałem, ale wątpię, czy zdołam im długo

potowarzyszyć jeśli już teraz usypiam. Zobaczymy, może na razie pójdę się zdrzemnąć i nastawię sobie budzik na 20:00, to zdążę spokojnie wyjść i wyrobię się na 21:00 na spotkanie.

Jest 20:00, udało mi się nie zaspać. Kluczyki są, kurtka jest, portfel, telefon...chyba mogę jechać. Wsiadłem do samochodu i ruszyłem w drogę, mieliśmy się spotkać w klubie oddalonym o jakieś 3 km od mojego osiedla, niedaleko. Kiedy dotarłem na miejsce zdziwił mnie fakt, że ludziom w tym wieku wciąż nie znudziła się głośna klubowa muzyka, sądziłem raczej, że zbiegiem czasu człowiek trochę się usatkuje i zaczyna doceniać chwile, w których życie jest mniej gwałtowne, pod każdym względem, kiedy zwalnia. Cóż, najwidoczniej się myliłem. Podeszedłem do baru, zamówiłem sobie drinka i przywitałem się ze znajomymi. Chwilę pogadaliśmy, ale później większość z nich poszła na parkiet, a ja jakoś nie miałem ochoty. Po jakimś czasie wyszedłem, bo trochę rozbolała mnie głowa. Myślałem, że wszyscy zostali w środku, kiedy wychodziłem, ale okazało się, że przez ten cały czas na dworze stała jedna osoba, zupełnie sama, po wyrazie twarzy można było się domyślić, że tu nie pasuje, dlatego czekała na zewnątrz – pomyślałem – tylko na kogo? Postanowiłem, że zwracanie sobie głowy podobnymi zagwozdkami nie poprawi mojej sytuacji, więc podeszedłem i się przedstawiłem; poznała mnie. Byłem pewien, że już dawno zapomniała jak wyglądam, ale spojrzenie, które na mnie skierowała świadczyło o tym, że bardzo dobrze wie kim jestem.

-Bardzo mi ...

-Mi też – odpowiedziałem, z jakiejś tajemniczej przyczyny dokładnie wiedziałem co powie.

-Idziemy...

-Gdzieś daleko stąd?

-Tak – szepnęła i poszliśmy na dosyć długi spacer. Rozmawialiśmy o wszystkim, o czym wcześniej nie mieliśmy okazji, o tym, gdzie pracujemy, co robimy na co dzień, jakie mamy dalsze plany na przyszłość, jak nam się układa w domu, w rodzinie. Po raz pierwszy od bardzo dawna poczułem spokój, w sercu, w duszy (o ile ją mam i o ile serce może czuć). W każdym razie byłem szczęśliwy, przez ten jeden, z perspektywy życia niezwykle krótki moment. Odprowadziłem ją do samochodu i pożegnaliśmy się, nie mogłem sobie odmówić pewnego pytania

-Powtórzmy to kiedyś?

-Może...Milczała przez chwilę, kiedy przekręciła kluczyk w stacyjce – Słuchaj, niewiele mogę ci obiecać, bo moja sytuacja jest trochę skomplikowana. Nie wiem jak ci to wytłumaczyć, ale proszę, nie próbuj mnie do niczego zmuszać. Potrzebuję czasu. – Ostatnie słowa powiedziała tak cicho, że do dziś nie jestem pewien, czy sam ich sobie nie dopowiedziałem, czy sam nie chciałem tego właśnie usłyszeć. Pamięć bywa niestety bardzo zwodnicza. Nie jestem pewien co się stało potem, bo byłem tak niesamowicie podniecony tym, że po raz pierwszy od bardzo dawna poczułem szczęście, że nie do końca panowałem nad sobą. Do mieszkania wróciłem koło 3:00, prawie od razu położyłem się spać, nawet przez myśl mi nie przeszło, że coś innego poza tym spotkaniem może się liczyć. Było takie krótkie, a wydało mi się wiecznością, nie potrafiłem o niczym innym myśleć. To było zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe.

Przez długi czas po owym spotkaniu Robert nie mógł się skoncentrować na pracy. Miał spore kłopoty z

wykonywaniem najprostszych operacji, aż w końcu dostał przymusowe zwolnienie na kilka dni, żeby odpocząć i poprzez odrobinę relaksu stworzyć sobie warunki do kontynuowania zawodu. Tak też zrobił, w końcu nie miał wyjścia, ale te 4 dni, rozciągały się niesamowicie, bo ani razu nie spotkał osoby, z którą rozmawiał tamtego niezwykłego wieczoru. Po raz drugi zobaczył się z nią dopiero po miesiącu, być może dlatego, że poprzednim razem tak był oszołomiony radością, że zapomniał zapytać się o jakiegokolwiek dane kontaktowe. Z resztą, niech sam wam opowie, co się potem działo:

Piątek wieczór. Wyszedłem ze szpitala i wsiadłem do samochodu. Po drodze do domu wstąpiłem do sklepu, żeby zrobić małe zakupy. Tego dnia na dworze było niezwykle cicho, jakby nawet ptakom ktoś na jeden dzień odebrał głos, a przecież to środek lata. Zobaczyłem ją przypadkiem, na dziale z warzywami i owocami. Stała odwrócona tyłem do mnie, nie mogłem więc dostrzec jej wyrazu twarzy, ale mógłbym przysiąc, że jak cała jej postawa wyraża koncentrację...ale nie na liście zakupów czy wielkim napisie PROMOCJA tuż nad jej głową. Patrzyła gdzieś daleko, zupełnie, jakby nie należała do tego świata, jakby utożsamiała się z zupełnie innym miejscem, a może innym czasem. Zastanawiałem się przez chwilę, czy nie jawi mi się w postaci jakiegoś urojenia, bo zdawała się nie reagować na moje „dzień dobry”, ale ku mojemu pozytywnemu zaskoczeniu okazała się prawdziwa. Odezwała się. Po dość długiej kontemplacji czegoś bardzo odległego.

-Myślałam o naszym spotkaniu – powiedziała – Wiesz, poczułam wtedy coś, czego od dawna nie potrafiłam w sobie odnaleźć, coś w rodzaju spokoju, bezpieczeństwa. Twoja obecność sprawiła, że czas na chwilę stanął...Cały czas patrzyła się w przestrzeń, ani razu na mnie nie spojrzała. Pewnie tak, jak ja bała się, że to spotkanie nie jest prawdziwe i nie chciała otworzyć się na smutną rzeczywistość. Wreszcie nasze spojrzenia się spotkały, serce zaczęło mi bić niezwykle gwałtownie, bo czułem jak pochłania mnie swoim wzrokiem. Staliśmy tak chwilę w bezruchu, potem w milczeniu podeszliśmy do kasy. Miała bardzo starannie pomalowane paznokcie – zauważyłem kiedy sięgnęła ręką do portfela. Odezwaliliśmy się do siebie dopiero po wyjściu ze sklepu. Żadne z nas nie chciało, żeby naszej rozmowie przysłuchiwał się ktokolwiek, nawet kasjerka, z którą przecież nie mamy nic wspólnego. Postanowiłem, że to ja pierwszy zabiorę głos.

-Dużo myślałem o tobie. Tęskniłem. Brakowało mi ciebie tak bardzo, że nie mogłem skupić się na pracy. Powiedzieli, żeby odpoczął, że to pewnie z przemęczenia. Nie wiedziałem kiedy cię spotkam, nie wiedziałem czy kiedykolwiek cię zobaczę. Przez pewien czas nie byłem pewien czy rzeczywiście się widzieliśmy. Powiesz mi coś o sobie? Gdzie pracujesz? Co robisz? Jak Ci się układa?

-Jest nawet dobrze – zaczęła – pracuję w redakcji pisma Nature. Kojarzysz, prawda? Z resztą, jak mógłbyś nie znać takiego pisma, jako lekarz na pewno nie raz o nim słyszałeś, jak każdy zapalony naukowiec...

-Skąd wiesz, że jestem lekarzem? Nie mówiłem ci...

-Zostawiłeś mi wizytówkę ostatnim razem. O moją nie poprosiłeś co prawda, ale to nie ma teraz wielkiego znaczenia. Jak powiedziałam, pracuję w redakcji. Poprawiam artykuły, czasem sama piszę i publikuję, mogę ci kiedyś udostępnić któryś z tych ciekawszych. Gdybyś chciał, mogłabym ci załatwić zniżkę na roczną subskrypcję, o ile masz trochę czasu, żeby sobie coś poczytać.

-Mam go aż za dużo. W zasadzie po pracy się nudzę. Każdego dnia. Każdego dnia, kiedy wracam do domu rozpaczliwie szukam zajęć, bo tak bardzo brakuje mi życia towarzyskiego, bliskości z drugą osobą, możliwości bycia wysłuchanym.

-To masz szczęście, że mnie spotkałeś, bo mam podobny problem. Też czuję się samotna. Nie jestem pew-

na czy mi z tym źle, ale na pewno ma to swoje wady. Mam na myśli to, że życie w samotności uczy dostrzegania korzyści, które płyną z życia wśród ludzi.

-Tak, masz rację. Ale to na dłuższą metę męczące. Takie pozostawanie w stanie pośrednim, bo ani nie zdecydowałem się być singlem, ani nie potrafię znaleźć kogoś, dzięki komu przestałbym nim być. A przecież nie wymagam wiele. Chciałbym tylko, żeby ktoś, z kim się związę był w stanie wysłuchać mnie, kiedy mam gorszy dzień. To wszystko.

-Wiem. Wiem o czym mówisz. Widzisz, mam bardzo podobne odczucia, ale nie wiem czy byłabym w stanie spełnić twoje oczekiwania. Nie mam po prostu pewności. Wiesz, byliśmy parą w gimnazjum, to było zupełnie co innego. Jednak tą i ówczesną sytuację coś łączy: W oby przypadkach trzeba uważać, żeby nie obiecać sobie zbyt dużo na początku.

-Yhm.

Wiedziałem, że miała rację. Rozumiałem sens jej słów, ale trudno mi było je zaakceptować. Były zbyt dotkliwe, zbyt brutalne, a może zbyt prawdziwe? Dlatego tak często w swoich przemyśleniach uciekam się do snów, w których snuję sobie wyidealizowane wersje rzeczywistości. Czasem robię to całkowicie świadomie, naukowcy dawno już opisali coś takiego. Nazywają to Lucid Dreaming, w skrócie LD, czyli świadomy sen. Tej nocy, kiedy po raz kolejny zmuszeni byliśmy się pożegnać, miałem taki właśnie świadomy sen. Wyobrażałem sobie jak ją całuję. Nasze usta stykały się tak powoli, że zdawało się, jakby nigdy nie miały do siebie dotrzeć. A jednak złączyły się, a kiedy to się stało, poczułem dwa sprzeczne ze sobą impulsy. Jeden z nich to ulga, uwolnienie bólu tak długo trzymanego w sobie, a drugi to pragnienie, by ten ból wrócił. Bowiem, gdyby powrócił, znów potrzebowałbym tego pocałunku tak bardzo, a uczucie jej miękkich, wilgotnych warg byłoby wciąż tak zniewalające piękne, uspokajające. Niesamowite jak plastyczna jest ludzka wyobraźnia. Tyle rzeczy jesteśmy w stanie przywołać za pomocą połączenia dźwięków, obrazów, zapachów, wspomnień z nimi związanymi.... Kiedy ją całowałem, czułem wciąż lekki zapach perfum, okalający jej włosy i szyję, potęgował tylko uczucie już i tak ogromnej błogości.

Kiedy obudziłem się rano, nie chciałem otworzyć oczu, bo wiedziałem, że ten piękny obraz zniknie. Być może to jedyna chwila, kiedy dane mi było poczuć choćby wyobrażenie tego uczucia, może do końca życia będzie mi dane zadowalać się wyłącznie jego alegoryczną formą.

W tym miejscu zapiski Roberta przybierają formę krótkich urwanych zdań, pozwolę sobie więc je pominąć i przeskoczyć nieco dalej do ciekawszego punktu tej historii. Jest to moment bardzo znaczący dla naszego opowiadania. Zastanawiam się do tej pory jak mógł się tego nie spodziewać? Czyżby te drobne aluzje, wypowiedziane jakby mimochodem nie były wystarczające dla kogoś tak doświadczonego przez życie, jak Robert? Znowu się rozgaduję. Chyba najwyższy czas, żeby po raz kolejny, przedostatni, oddać mu głos, ale tym razem na trochę dłużej, gdyż musimy doprowadzić w jego historii do tego jakże ważnego momentu, a oboje, i ja i Robert, uważamy, że po drodze do owego nastąpiło kilka wydarzeń, które szkoda byłoby pominąć, ze względu swój wpływ, który wywarły na przemianę naszego bohatera.

Kilka dni później znów się z nią spotkałem. Tym razem zamierzenie. Wiedziałem już gdzie mieszka, co robi i kiedy ma czas, żeby się ze mną widywać. Na miejsce spotkania wybraliśmy stare kino, nieopodal mojego bloku. Kameralne, różniące się od tych multipleksów, których wszędzie pełno. Od samego wejścia czuło się niepowtarzalną atmosferę. Jak w jaskini, gdzie, jak mówią, panuje mikro klimat, nie można ro-

bić zdjęć z fleszem i tak dalej. Tutaj jest podobnie – gdyby znalazł się tu ktoś niepożądany, mógłby zepsuć uczucia, towarzyszące temu miejscu. Szczęśliwie, zwykle ci, którzy tu nie pasują, odsiewani są przez sieciowe kina, bo prawdopodobnie nie wiedzą nawet o istnieniu takich, jak to. Do niczego nie jest im to potrzebne. Wybraliśmy się na adaptację filmową „Much Ado About Nothing” Shakespeare’a. Taka komedia, tylko zdecydowanie mniej głupia niż „Straszny film” czy inne parodie w tym guście. Podobało nam się obojgu, ale nie film był najistotniejszym elementem spotkania. Jak zwykle, zdążyliśmy trochę porozmawiać. Przed wejściem na seans i długo po nim, jak odprowadzałem ją do domu.

-Jak ostatnio mówiłaś o tych oczekiwaniach, co miałaś na myśli? – zacząłem

-Zwyczajnie nie jestem pewna, czy udałoby nam się stworzyć razem coś sensownego. Różnie to bywa w dzisiejszych czasach. Jakie oczekiwania? Ano takie jak zrozumienie, troska, akceptacja. Jak się tak wymienia to proste, ale naprawdę poświęcić komuś większość swojej uwagi nie jest łatwo.

-Chyba tak. To znaczy tak. Czegoś podobnego doświadczyłem dosyć niedawno...

-Miałeś kogoś? Jak długo? Opowiesz mi trochę o tym? Ciekawa jestem jak byś się zachował w takim poważnym związku. Wyobrazić to sobie trudno, biorąc pod uwagę pracę, którą wykonujesz. Chirurgia nie należy do romantycznych zawodów.

-Tak, to prawda, szczególnie jak po powrocie z pracy zaczynasz opowiadać dziewczynie o przebiegu operacji, żeby zrzucić z siebie napięcie emocjonalne, a ona tak bardzo nie może tego słuchać, że nagle podejrzenie dużo odkurza. Żeby nie słyszeć tego, co ją tak obrzydza. Cóż, ludzie muszą sobie jakoś radzić z takimi rzeczami. Może za dużo wymagam prosząc kogokolwiek, by tego słuchał?

-Moim zdaniem nie. Jeśli chcesz wieść życie w udanym związku, takim dobrze poukładanym, musisz być pewien, że możesz powiedzieć wszystko, co ci leży na sercu. Może to trochę idealistyczny punkt widzenia, ale nie wyobrażam sobie być z kimś i nie mówić mu o swoich przeżyciach. To przecież kluczowe. Jak inaczej miałabym nie zwariować w tym świecie? Ludzie coraz częściej potrzebują się wygadać, za dużo się dzieje, a przesyt informacji jest tak duży, że nastęrcza wciąż więcej problemów i dodatkowo powoduje nieprzyjemne wrażenie, że świat na około nam obojętnieje...

-I właśnie dlatego spotykam się z Tobą. Żeby mi świat nie zobojętniał. Jest coś takiego w tych naszych rozmowach, spotkaniach, że mogę powiedzieć wszystko, co chcę powiedzieć. To niesamowite, w jakiś sposób działasz na mnie tak, że wymuszasz na mnie, żebym się zwierzał.

-Nie ty jeden masz takie wrażenie. Słyszałam już coś podobnego. Pewnie dlatego ludzie tak mówią, że sama mam jakiś kłopot i przyciągam do siebie kłopoty innych.

-A jaki mogłabyś mieć problem? Mieszkasz w pięknej dzielnicy, lubisz swoją pracę, masz za co jeść, pić i tak dalej. Czego ci może brakować?

-To tylko tak wygląda, tak idealnie. Moje życie to nie Eldorado. Nie mieszkam w krainie złota, każda chwila jest dla mnie cenna, czas nie jest nieskończony. Mam na czole wypisaną datę swojego końca, jak każdy z nas.

-To coś jak predestynacja. Wierzysz w to? W to, że istnieje coś takiego jak fatum, przeznaczenie, czy cokolwiek podobnego?

-Nie chcę wierzyć, ale pewne zjawiska mnie do tego skłoniły. Nie miałam wyjścia, trudno się oprzeć temu wrażeniu, a jak pozostawisz jakąś kwestię bez wyjaśnienia, potem ciągle się nią zadrezczasz. Pewnie da się wytłumaczyć całe to życie czymś innym niż przeznaczenie, ale jeśli takie wytłumaczenie istnieje, to na pewno jest bardzo skomplikowane i zawikłane ...

-Nie aż tak bardzo jak ci się wydaje, każdy jest kowalem własnego losu. Codziennie podejmujesz setki decyzji, nigdy nie wiesz, która zaważy o tym, co będzie dalej. Ale to ty zastawiasz na siebie pułapki, nie los.

-Niezupełnie. To znaczy masz rację, ale nie zawsze się to sprawdza...Musiałabym...Nieważne, możemy zmienić temat?

-Tak, tak oczywiście – odpowiedziałem, ale rozmowa już dalej się nie kleiła. Jakoś nie mogliśmy znaleźć tematu, który nie wiązałby się z tym poprzednim. Dopiero po filmie znów się do siebie odezwaliśmy. Warto w sumie powiedzieć, co się wówczas działo.

Weszliśmy na salę kinową i czekaliśmy, aż puszczą pierwsze reklamy. Ponieważ nie znajdowaliśmy się w multipleksie, problem ze znikającymi przedwcześnie nachosami nie wystąpił, a chrupanie nie zagłuszało momentów, najbardziej budujących napięcie. Krótco po tym, jak film się zaczął(a może minęło więcej czasu i dałem się złapać w jakąś pułapkę zastawioną na mnie przez ciągle zakrzywiająca się czasoprzestrzeń), poczułem, że jakieś dziwne ciepło na udzie. Stwierdziłem na początku, że to pewnie krew zaczęła szybciej krążyć i jestem zbyt przewrażliwiony, ale gdy oderwałem wzrok od ekranu, zauważyłem, że na moim udzie leżała jej ręka. Spytałem dlaczego to zrobiła, ale nie odpowiedziała. Była zamyślona, a właściwie więcej niż tylko zamyślona. Przeniosła się w stan jakiegoś ekstazy uniesienia, miała spokojny oddech, wyglądała, jakby całą sobą przeżywała to jedno nieznaczące dotknięcie. Przez dłuższą chwilę zastanawiałem się, czy może tak właśnie wygląda u niektórych klasyczne katharsis, które opisywali starożytni Grecy, ale doszedłem do wniosku, że to raczej nie następuje w trakcie oglądania komedii. Zdecydowanie bardziej kojarzy się z tragedią. Później porzuciłem te przemyślenia i skupiłem się już do końca filmu na tym, co się działo na ekranie. Po wyjściu z kina, relacja pomiędzy mną, a nią nie była już taka sama. Zmieniło ją to jedno dotknięcie.

Gdy odprowadzałem ją do domu, wracaliśmy przez park. Śpiew ptaków zdawał się uspokajać nas oboje. Widocznie mocno wczuliśmy się w tą ptasią atmosferę, bo odezwaliśmy się do siebie dopiero, gdy śpiew był już poza zasięgiem naszych uszu.

-Podobał mi się film – zacząłem.

-Tak, mi też.

-Co najbardziej? – w zasadzie była w tym zdaniu prowokacja, jednak dopiero, gdy je wypowiedziałem, zdałem sobie sprawę z tego, jak zabrzmiało.

-Nie wiem. Cały był fajny...Dobry scenariusz, niezłe dobrana obsada, kilka ciekawych scen.

-Tak – powiedziałem, a potem poczułem jak Ona powoli łapie mnie za rękę, tym razem świadomie.

Szliśmy przez chwilę w ciszy, do jej domu zostało jakieś 5 minut piechotą. Wreszcie tuż przed swoim osie-

dłem spytała:

-Chcesz do mnie wpaść może?

-Może...powtórzyłem, a na jej twarzy pojawił się lekki uśmiech.

-Tylko wiesz, mieszkam skromnie, więc się nie zdziw, panie doktorze –zażartowała.

-Nie ma problemu, gdyby dziwiły mnie zwykłe mieszkania, to, co widzę na stole operacyjnym wywołało by tyle znaków zapytania, że zaczęłyby się pojawiać wokół mojej głowy jak w kreskówce, w postaci takich małych dymków...

-No cóż, zapraszam. Zaraz się przekonasz.

Przyznam, że przy wejściu trochę się zdziwiłem, nie było to spowodowane skromnością lecz oryginalnością wystroju. Najwyraźniej nasza pani redaktor była oprócz nauki również fanką Japonii, o czym przekonało mnie tenugui, wiszące na drzwiach frontowych.

-Nie wiedziałem, że interesujesz się Japonią.

-Nie ja, tylko poprzedni właściciel...Zagryzła wargę, gdy to powiedziała.

-Nie przeszkadza mi to, ale imponuje.

-Okey, w takim razie to nie poprzedni właściciel – uśmiechnęła się i odetchnęła z ulgą, gdy to powiedziała. Wiedziałem, że skłamała, gdy przygryzła wargę, nie wiem dlaczego, ale po prostu to czułem. Opro-wadziła mnie po swoim mieszkaniu, pod względem wielkości rzeczywiście było skromne. Ale niesamo-wicie dobrze zagospodarowane. Widać było, że Ona pracuje w redakcji. Na jej biurku było mnóstwo otwartych artykułów, gazet, felietonów, pism wszelkiego rodzaju, niektóre z nich wisiały nawet na ścia-nach, z przypiętą za pomocą pineski karteczką „do sprawdzenia” lub „pochwalam”. Pasjonowała się czytaniem. Zdecydowanie pasowała do takiej pracy.

-Smakowało ci? – spytała, gdy zjedliśmy razem kolację, przygotowaną z dokładnością identyczną, jaką poświęcała każdemu tekstowi, czytanemu w pracy, czy w domu. Upiekła kurczaka z warzywnym sosem i ryżem, danie proste, ale wszystko było dosłownie idealne. Musiała wiedzieć to dokładnie tak samo dobrze jak ja, bo kiedy odpowiedziałem:

-Przeszłaś samą siebie – odpowiedziała mi :

-Wiem, tym razem naprawdę świetnie mi wyszło.

Była niesamowicie pewna siebie, ale tylko w pewnych sytuacjach. Dlatego między innymi do niczego między nami nie doszło. Wcale nie z powodu zbyt krótkiej znajomości. Ona wprost powiedziała mi, że ma ogromną chęć, ale sądzi, że nie czułaby się pewnie, decydując się na coś takiego. Rozumiałem to.

-Dobrze – odpowiedziałem – W takim razie obejrzyjmy razem film, nie jest jeszcze zbyt późno. Poza tym jutro i tak jest weekend.

-Okey, ale byliśmy już w kinie.

-Rzeczywiście – przypomniało mi się. Od tamtego czasu minęło może 4-5 godzin, ale ja miałem wrażenie, jakby to była odległa przeszłość. Czas zaczął płynąć w niezwykle nieregularnym tempie. Być może kiedy Einstein formułował teorię względności nie miał na myśli tylko i wyłącznie słynnej zależności pomiędzy energią, a masą, ale również sam fakt, że czas dla każdego z nas i dla każdej chwili zarezerwował sobie określone tempo. Choć może to trochę naiwne, snuć takie przypuszczenia. Realista powiedziałby, że czas leci cały czas tak samo(pesymista, że tak samo szybko).

-No to...możemy wyjść na balkon, owinąć się kołdrą i pooglądać gwiazdy

-Jeśli będą, to czemu nie. A nawet jeśli nie, pozostaje księżyc.

-Biedny księżyc, wciąż przyćmiony niesławą, bo mówi się, że wcale nie sam świeci lecz dzięki słońcu...

-Skąd to jest?

-Z mojego pamiętnika. Znaczący znikąd, sam wymyśliłem. Czasem zdarza mi się, że słowa same układają się w takie sentencje, aforyzmy, dowcipy.

-Fajnie.

-Też mi się tak wydaje.

Wyszliśmy na balkon i poczuliśmy chłodny powiew wiatru. Wybiła północ.

-Wiesz, czasami śni mi się, że jestem w innym miejscu. Daleko stąd, gdzieś w dużym, spokojnym lesie, na wyspie. Albo na środku jeziora w łódce. Płynę tą łódką, czy idę przez ten las, bez celu, bez pośpiechu, nie oczekując żadnych zwrotów akcji, tajemnic, zaskoczenia. Po prostu idę przed siebie...

-To musi być naprawdę daleko...

Zasnęła, jej oddech powoli spowalniał, więc zorientowałem się kiedy odpłynęła w krainę snów. Nie wiem, czy takich o odległym miejscu, o którym tak marzy, o którym oboje marzymy, ale na pewno wyrazistych i dokładnych, bogatych w szczegóły. Jak całe jej życie, jak jej praca, bo sny nasze są takie, jacy my jesteśmy. Sen...sen to jest jedyne takie miejsce, w którym nie potrafimy skłamać, bo nie pozwala nam na to nasza czysta, prawdziwa częśćka, złożona z niespełnionych marzeń, pragnień, strachu, obsesji, wstrętu. Z wszystkiego, co w nas instynktowne.

Wziąłem ją powoli na ręce i zaniósłem do łóżka. Położyłem się obok i zasnąłem. To niesamowite, ale przyśniło mi się właśnie to odległe miejsce, o którym Ona mi opowiadała. Było jednak splamione skazą przeszłości.

Siedziałem na krześle w małym domku na środku jeziora. Przyglądałem się kaczkom, które z wielkim zaangażowaniem poszukiwały czegoś do jedzenia. Nurkowały, latały z miejsca na miejsce aż wreszcie zlitował się nad nimi jakiś przechodni, który zatrzymał się nad jeziorem i zaczął rozrzucać okruchy czerstwego chleba. Gdy już skończył, stał jeszcze przez chwilę nad brzegiem, potem poszedł dalej, by powrócić do swoich codziennych spraw.

W tym domku słychać było radio: „When August winds are turning...” Zamknąłem drzwi, wróciłem na fotel i westchnąłem lekko. „...The fishing boats set out upon the sea...” – śpiewał Sting. W jego głosie słychać było tęsknotę i ból, ale z jakiegoś tajemniczego powodu na mnie ta właśnie piosenka działała uspokajająco.

Nagle poczułem nieprzyjemny impuls. Niemilosiernie rozboleł mnie pęcherz. Musiałem wcześniej wypić ze 3 kawy – przypomniałem sobie. Powolnym ruchem odłożyłem książkę, wstałem i poszedłem do łazienki. Pchnąłem lekko drzwi i spojrzałem na wannę. W tej wannie leżała trumna. Była otwarta. W środku spoczywał człowiek, wyglądał niemal jakby spał. Nie mogłem dostrzec jego twarzy. A może była to twarz kobiety? ...

Z wyrazem osłupienia na twarzy cofnąłem się i bardzo powoli wyszedłem z domu. Patrzyłem na jezioro. Było takie same jak przed chwilą, kaczkę tak samo głodne, przechodni tak samo zadowoleni, że mogą je karmić, nawet śpiew ptaków wciąż dodawał temu miejscu niesamowitej harmonii. Tylko Sting kończył już swoją piosenkę: „But no one knows this secret me, where albeit unconsciously, I count the boats returning from the sea”

Następnego dnia rano, kiedy jedliśmy śniadanie, Ona spytała się o moje dzieciństwo. Nieco zdziwiony udzieliłem dosyć zwięzłej odpowiedzi.

-A czemu pytasz? – wyraziłem wreszcie swoje zaniepokojenie.

-Nie mogłam spać przez jakiś czas i słyszałam, jak przez sen cicho szepczesz ...

-Co takiego?

-Mamo ...

Po śniadaniu poszliśmy na spacer. Lubilem się z Nią przechadzać. Zawsze, kiedy gdzieś wychodziliśmy, znajdowaliśmy mnóstwo tematów do rozmowy. Co prawda niektóre kończyły się wymowną ciszą, ale i tego czasem było nam potrzeba. Nie rozmawialiśmy ze sobą jak para, bardziej jak przyjaciele, nie czyniliśmy zbyt wielu gestów. Jeśli się pojawiały, były delikatne, ale na mnie wywierały niesamowicie duże wrażenie. Kiedy jej dłoń wsuwała się powoli w moją, czułem po kolei każdy jej palec. Jako lekarz, zbadałem ludzkie ciało wzdłuż i wszerz, ale wciąż nie potrafię wyjaśnić, nawet teraz, gdy opowiadam tę historię, co się wtedy ze mną działo. Wiem tylko, że było to coś, czego już nie doświadczę.

-Czytałeś „Ziemiomorze”? – spytała

-Jasne. To jedna z moich ulubionych książek, często zdarza mi się o niej myśleć, wracać do niej.

-Była tam taka scena, w Tehanu, kiedy Ged po utraceniu całej swojej mocy odwiedził Tenar, która także znaczną część życia miała już za sobą...

-I nie chciał się pogodzić z tym, że już nie jest wszechpotężny, że zrezygnował z siły, żeby ocalić świat, który znał.

-Tak, właśnie. Długo nie daje się przekonać, zaczyna chorować. W między czasie dowiaduje się o śmierci

swojego mistrza Ogiona, co jeszcze bardziej go przytłacza, zdaje się, że wyparowała z niego ostatnia kropla szczęścia.

-A wtedy Tenar czyni go człowiekiem. W książce mniej więcej tak jest to ujęte, nie pamiętam dokładnych słów, ale jedyny szczegół, który tam padł, to, że „zrzućli swoje szaty”. To ciekawe, ale dużo lepiej jest, kiedy ktoś opowiada o czymś takim językiem metafor, symboli, snów.

-Tak, inaczej obnaża się przed człowiekiem świat, podany na tacy, ze wszystkimi, nawet najobrzydliwszymi szczegółami, ubranymi w niesamowicie bolesną dosadność.

-Ale tacy widzowie też się rodzą. Ci, którzy chcą w filmach o Auschwitz oglądać „autentyczną” śmierć w komorach gazowych, tak jakby fascynowało ich mięso, krew, wyprute na wierzchu flaki, a wszystko to przykryte ekskrementami. Niestety, takich widzów jest coraz więcej.

-Racja, ale może i tacy muszą się rodzić. Kiedyś wpadłam na taki pomysł, że w historii ludzkości nie ma miejsca na naukę, na wzięcie pod uwagę błędów z przeszłości. Pęd dziejów domaga się zniszczenia wszystkiego, co do tej pory było, po to, żeby stworzyć na powstałym gruncie coś nowego. Tak jak natura. Kiedy umieramy, zjadają nas przecież robaki. Stajemy się źródłem nowego życia.

-To bardzo ciekawe, wiesz. Spróbuj napisać o tym do gazety.

-Nikt tego nie będzie czytał, bo nie zajmuję się historiozofią zawodowo. Poza tym nie wiem, czy chcę, żeby ludzie widzieli taki artykuł. Może zamiast tego dam im szansę, żeby sami na to wpadli?

-Niektórzy nie umieją i nigdy nie wpadną, ale podziwiam twoją nadzieję.

-Idziemy gdzieś na kawę? Deszcz pada, a mnie od spaceru bolą już trochę nogi, ile w zasadzie przeszliśmy?

-Nie wiem, jesteśmy gdzieś koło...Rany, kompletnie straciłem poczucie czasu, idziemy tak już od dwóch godzin. Zdziwiająca...

-Wszystko w porządku?

-Pewnie, ale mam jedno małe zastrzeżenie.

-Słucham.

-Mniej rozmów o flakach po śniadaniu.

-Jasne. – uśmiechnęła się.

Od tej pory to „jasne” stało się naszym własnym wyjątkowym słowem. Wyrażało wszystko, począwszy od lekkiego zdenerwowania, kiedy czegoś nie byliśmy pewni, poprzez zdziwienie, na radości, czy śmiechu kończąc. „Jasne” pasowało do wszystkiego, ale nie dlatego, że przez zauroczenie zapomnieliśmy o słowach takich jak „oczywiście” albo „Zgadza się”. Było tak dlatego, że powtarzanie tego słowa wytwarzało poczucie bliskości, zaufania, czegoś wyjątkowego, co istniało tylko między nami i otaczającej szarości nadawało nieco jasnych barw.

Właśnie wtedy, gdy wspomniana szarość jęła się ulatniać, kiedy czułem, że odradzam się na nowo, nadeszła jesień, a wraz z nią lekkie zachmurzenie, po nim opadły z drzew liście, a na końcu szarość zaczęła znów zatracać zyskane barwy. Ale słońce, pomimo tego, na co rzucało blask swoich promieni, nie przestało wschodzić, bo zawsze musi iść dalej.

W tym momencie przerwę Robertowi po raz kolejny. Według tego, co wcześniej powiedziałem, jeśli jeszcze pamiętasz, oddam niedługo naszemu bohaterowi głos, żeby pozwolić mu zakończyć swoje opowiadanie. Właśnie teraz zrozumie coś bardzo ważnego. Jestem z niego zadowolony, jak się teraz nad tym zastanawiam, bo to, do czego doszedł nie jest wcale łatwo przyjąć do wiadomości. Najgorsze jest to, że nie byłem w stanie mu w tym pomóc, mogłem tylko stać i obserwować, czy poprosi mnie o to, bym mu towarzyszył. Na szczęście tego nie zrobił, bo, jak już wiesz, moja obecność niczego dobrego nie oznacza. Postaram się już więcej mu nie przerywać i pozwolę mu wypowiedzieć się wyczerpująco. Powrócę jeszcze, gdy on już uzna, że skończyły się słowa, którymi mógłby opisać wszystko, co dla niego w tej historii ważne. Ktoś kiedyś powiedział, że tam, gdzie są granice naszego języka, znajdują się także granice naszego świata...

Mów Robert, powiedz im co się stało.

Kiedy zaczęła się jesień, wybraliśmy się razem na spacer do naszego ulubionego parku, żeby podziwiać kolorowe kobierce, utkane z opadłych liści i jak zazwyczaj po prostu porozmawiać. Złapał nas chłodny deszcz, ale nie przejmując się tym kontynuowaliśmy przechadzkę. Są tacy, którzy twierdzą, jest ich bardzo dużo, że najpiękniejsza jest wiosna, bo wtedy wszystko budzi się do życia. My mogliśmy siebie nazywać oryginalnymi, ciesząc się na sam fakt, że natura usypia właśnie po to, by później znów się obudzić. Jesień, mimo swojego odoru zgniłych liści i nieprzyjemnego chłodu była nam wówczas potrzebna, bo stanowiła czas, w którym pewne cząstki nas umarły, by móc zmienić się lub odrodzić na wiosnę życia.

-Pamiętasz, jak dawno temu widzieliśmy się po raz pierwszy? – spytała

-To było chyba w gimnazjum, nie? – nie byłem pewien, ale to naturalne, taki brak poczucia czasu, kiedy spacerujesz u boku bliskiej osoby, a pod nogami szurają liście.

-Prawie. W wakacje między gimnazjum i liceum. Wszystko było wtedy takie idealne...

-Zupełnie jakby wyzute z rzeczywistości. Tak, też to pamiętam. Bardzo dokładnie zresztą, bo nie sposób zapomnieć tę małą, przytulną kawiarenkę, w której rozpoczęła się i skończyła zarazem – nasza przygoda.

-Wiesz, to ponowne spotkanie, to nie jest trochę jak w bajce?

-Hmm?

-Proszę cię, ile razy zdarza się na świecie coś takiego. To aż podejrzane, że trafiliśmy na siebie po raz kolejny.

-To jakby przeznaczenie...

-W które nie wierzę i dobrze o tym wiesz, więc nie próbuj mnie nawet podpuszczać łobuzie. – uśmiechnęła się, a ja dobrze wiedziałem, że jest nieco inaczej, niż powiedziała.

-Pewnie, że nie. Właśnie dlatego WCALE się nad tym nie zastanawiasz.

-Oj...

-Nie no, zgrywam się. Też mi się wydaje, że gdyby nękało nas fatum, podejmowanie decyzji byłoby czymś fikcyjnym, bo jak można powiedzieć „podjąłem decyzję”, jeśli to nie wynika z wolnej woli, ale jedynie z konieczności, którą narzuca ci jakiś absurdalny absolut? I kto ma w to uwierzyć?

-No.

-Coś mało mówisz ostatnio, wszystko w porządku?

-Tak, tylko trudno mi się skupić, bo udziela mi się magia tej pory roku. Jakoś wydaje mi się, jakbyśmy byli w innym miejscu.

-Gdzieś poza czasem?

-Tak, jak budda.

-Ale wtedy w parku musiałyby być 7 ścieżek.

-Ha-ha.

Tak gawędząc wędrowaliśmy w deszczu, aż zmarzliśmy okropnie i zdecydowaliśmy, że lepiej będzie wrócić do domu na gorące kakao i wymyślić co też moglibyśmy obejrzeć tym razem. Po powrocie z wycieczki, mrozącej nie jak w kinie grozy krew w żyłach, ale skarpetki w butach, które przesiąkły od łażenia po kałużach. W telewizji niczego ciekawego nie znaleźliśmy, więc postanowiłem sprawdzić na ninatece, tam zawsze udawało się wyhaczyć coś nieprzeciętnego. Ale tym razem i to zawiodło.

Siedzieliśmy przez jakiś czas i grzaliśmy się, sącząc ciepłe kakao, takie prawdziwe, zrobione na mleku, a nie na wrzątku. Potem zrobiło się późno, ale nie chciało się nam spać, więc siedzieliśmy tak, co jakiś czas coś mówiąc, ale przede wszystkim w milczeniu. Czuliśmy się po prostu dobrze. Każde z nas odszukało w tamtej chwili taki azyl, krótki odcinek czasu, przedłużający się w nieskończoność, zapewniający tak bardzo pożądane poczucie spełnienia, radości, mimo całego tego zła, które świat skumulował w poczynaniach człowieka. Nie wiem, czy to przez cywilizację, jak pisał Rousseau, czy może z natury, jak inni byli skłonni przypuszczać, ale wiem jedno. Chwil, które pozwalają to zło zatuszować jest coraz mniej, a my wśród tej bezdennej głębi czasoprzestrzeni, odszukaliśmy taką i ukryliśmy, aby nikt nie mógł nam jej zabrać. Po jakimś czasie położyliśmy się spać.

Obudziłem się następnego dnia rano z pewnym dziwnym uczuciem. Wydawało mi się, że czegoś brakuje. Postanowiłem to sprawdzić. Obróciłem się na drugi bok i przeżyłem szok. Jej tam nie było. Zerwałem się na nogi i zacząłem Jej szukać. W mieszkaniu Jej nie było, na zewnątrz też nie wyszła, bo drzwi były zamknięte na klucz, a byliśmy u mnie, więc nie mogła wyjść. Co się stało?

Chciałem dzwonić na policję, krzyczeć, płakać, niszczyć wszystko, co znalazłem na swojej drodze. W napadzie szału i rozpaczyny natknąłem się przypadkiem na zdjęcie, które już od bardzo dawna stało na moim biurku. Stałem tam sam, Ona nie była na zdjęciu, po prostu zniknęła, jakby nigdy nie istniała. Kiedy zniknęła wszystko straciło sens, było pozbawione racji bytu. Cały świat, który do tej pory znałem okazał się szary, niepełny, jakby coś mu odebrano, raz na zawsze. I to coś, a raczej ten ktoś już nigdy nie powróci. A czas wciąż będzie pędził do przodu jak szalony, aż zadławi się swoją porażką – końcem świata, tak często zapowiadanym i opisywanym...

Nagle poczułem mocny impuls i momentalnie się uspokoiłem. Zobojętniały, ale świadomy wyszedłem z domu. Pojechałem na cmentarz.

Stałem wpatrzony w mogiłę z datą Jej śmierci. 23.08.2001...to prawie 20 lat temu. Przypomniałem sobie, jak siedzimy razem w pokoju, jej pokoju i ze starego gramofonu słuchamy Simona i Garfunkela. Dostała ich płytę na urodziny i koniecznie chciała mi się nią pochwalić. Potem byliśmy razem w tej pamiętnej kawiarence i prawie cały czas milczeliśmy, ale uczucie wypełniało nas po same brzegi. „Are you going to Scarborough Fair?”

Teraz już wszystko pamiętam. Wszystko rozumiem. – myślałem. Wyjąłem z kieszeni małą tabliczkę i położyłem na grobie. Widniał na niej napis „She once was a true love of mine”.

Wiatr wiał bardzo cicho, jakby sam nie był pewien, co pozostało mu do powiedzenia. Tylko ten spokojny, jednostajny szum, nic więcej nie zostało...Szum niosący wspomnienie, zamknięte w piosence, która wciąż brzmi tak samo wyraźnie i w takie same wprawia dreszcze.

„Are you going to Scarborough Fair?”

Parsley, Sage, Rosemary and Thyme

Remember me to one who lives there

She once was a true love of mine.”

Historia jest skończona, a wiatr uparcie wieje do dzisiaj. Dlaczego tak się stało? Przecież Ona MUSIAŁA istnieć naprawdę. Ale, jak się okazuje, Robert przez ten cały czas żył wspomnieniem zmarłej osoby. Nic dziwnego, że właśnie odebrałem mu głos. Po wspomnianych wyżej wydarzeniach trafił on do szpitala psychiatrycznego i pozostał tam na jakiś czas, żeby wyleczyć się z przykrego złudzenia. Lekarze, którzy byli zaskoczeni, że Robert nie przyjmował żadnych środków odurzających nie byli w stanie zidentyfikować choroby, a ich diagnoza brzmiała: „pacjent wykazuje objawy psychozy ze szczególnie nasilonymi halucynacjami, nadnaturalnie podobnymi do rzeczywistości”. Przynajmniej tak wynikało z jego opisów, które przytaczał raz po raz, jakby w stanie maligny, czy osłupienia. Ale wyjaśnienie jest zupełnie inne, Robert nie jest chory. Chcacie wiedzieć, dlaczego Ona przestała istnieć? Cóż, to ja jestem jej mordercą. Zabiłem ją z zimną krwią, tak samo bezlitośnie, jak tworzyłem ją na nowo, by dać Robertowi fałszywą nadzieję. Taki stan rzeczy, powiecie pewnie, czyni ze mnie potwora.

Ale tak się składa, że ludzie nadali mi nieco inne imię. We Francji na przykład mówią, o tych, co ze mną się bratają, że „ils voyagent en solitaire”. Anglicy na takich mówią „the're lonely”. A Robert powiedziałby po prostu „jestem samotny”. Kim więcej ja jestem? Jestem zmorą każdego istnienia, ponieważ jako jedyny nie jestem samotny. Ja jestem samotnością. Pastwię się nad innymi, odbierając im szczęście. Niestety nie mam wyboru, tak jest moja rola. Jest jednak coś, co sprawia, że się wzruszam. W taki stan potrafią mnie wprowadzić ludzie, którzy walczą ze mną i za wszelką cenę nie chcą ze mną mieć nic wspólnego, tacy, którym się to udaje, dla takich warto być tym, kim jestem. Ale ponieważ większość walczyć ze mną nie potrafi lub wręcz ściąga mnie na własne życzenie, rzadko mam okazję się wzruszać, niestety.

Zakładam, że w tym miejscu możesz z łatwością, drogi czytelniku, udzielić odpowiedzi na pytanie, zadane w tytule. To jak jest, ist(nie)ję?

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Nihil Vanite, dodano 08.03.2017 20:17

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.